

Izabela Szolc

**ciotka małych
dziewczynek**



IZABELA SZOLC

CIOTKA MAŁYCH DZIEWCZYNEK

WARSZAWA 2007

*Kiedy chcąc lokom twym dorównać złotym
daremnie złoto w słońcu lśni jaskrawo;
kiedy ze zmarszczką na swym białym czole
patrzysz surowo na kwiat polnej lilii;*

*kiedy twe wargi więcej śledzi oczu
niżeli goździk wczesny, gdy rozkwita
i kiedy triumf wzgardliwie odnosi
wdzięczna twa szyja nad kryształu blaskiem;*

*ciesz się urodą szyi, warg i włosów
póki nie tylko młodości twej dary
złoto, kryształy, lilie i goździki*

*zmieniać się w srebro i zeschnięty kwiat fiołka,
lecz i ty z nimi cała się obrócisz
w garść ziemi, smugę dymu, pyłek, cień i nicość.*

Luis de Góngora y Argote (1561–1627)

ZA SIEDMIOMA GÓRAMI,
ZA SIEDMIOMA LASAMI

MIASTO DIABŁA

Patrz za wiatrem. Rodzi się gdzieś na pustyni, biegnie przed siebie niczym paranoik czy człowiek ogarnięty depresją. Piasek wysypuje mu się z kieszeni. Ziarenka na ruchomej ziemi układają się w mikroskopijne leje. Czasem któryś otwór się powiększa. Pustynia wiele ukrywa. Wiatr chimerycznie to zaciera, to odkrywa ślady. Gdyby zajrzeć w wizjery powstałe w piasku, można by krzyknąć ze strachu. Nie starczyłoby odwagi, by wziąć szpadel. Otworzyć drzwi. Wiatr biegnie dalej. Pustynia, jak każda inna od chwili stworzenia człowieka, otwiera się na miasto.

Miasto, nawet to, jest oazą. Kiedy spogląda się na nie z góry, umysł, który wszystko pragnie porządkować, Boga rozpoznawać po grzmocie, widzi równy wzór w ustawieniu domów. Dobrze osadzone kwartały okien i dachów. To złudzenie. Należy biec za wiatrem, by dowiedzieć się więcej.

Szara pustynia, białe niebo ustępują miejsca równie monochromatycznemu miastu. Rzecz dziwna pod tą szerokością geograficzną; świat się buntuje, od czasu do czasu zduszone kolory eksplodują w kształcie równie surrealistycznych różowych krzyży, żółtych beczek, kobaltowych toreb rozwieszonych na drzewach (można pomyśleć, że drzewa tu w ogóle owocują tymi szeleszczącymi opatrunkami po zakupach), orchideą, której ogłuszający zmysły kolor pozostaje jeszcze nienazwany.

Nad miastem unosi się zapach rozgrzanej gumy oraz metalu. Główna ulica, którą biegnie wiatr, wydaje się wysypana skrzącym się lodem niczym Petersburg w karnawale. To odłamki stłuczonego szkła. Mieszkańcy nie mają pojęcia, że istnieje jakieś miasto nad Newą, że istnieje tamta rzeka. Wysuszeni na wiór, w ogromnej liczbie są analfabetami.

Trudno im zrobić zdjęcie, spalona skóra rozmazuje się, znika na błonie fotograficznej. Ludzie ci ze wszystkich sił próbują ocalić dusze, ale im

się to nie udaje. Jej ślady zachowali jedynie młodzi, to oni są w Mieście Diabła mordowani.

Miasto zarażone jest ciszą z pustyni. W dodatku ludzie są tu głusi – kiedy rozlega się krzyk, kanały uszne zaciskają się ze strachu, rusza lawa woskowiny. Mieszkańcy jednak nie są do końca kalekami – potrafią z parunastogodzinym wyprzedzeniem przewidzieć burzę, huragan czy trzęsienie ziemi. Przyływy czy odpływy Zła. Deszcz. Ciągłe są pobudzeni jak fenki w norbach. Czują drżenie ziemi, to pracują ciężkie maszyny w maquiladorach* na wschodnim krańcu miasta. Uderzenia tłoków przechodzą w rytm serca. Ogromnego metalowego mięśnia, który trzyma ludzi w ryzach, a miasto chroni przed rozpadem. Philips, Thompson, Johnson and Johnson. Węzeł Keitha-Flacka, pęczek Palladino-Hisa, włókna Purkinjego.

Na ulicy leży rozgnieciona paczka po farosach**. Obwąchuje ją sentymentalny pies, któremu przesiąknięta papierosowym dymem tekturka kojarzy się z palcami niegdyśszego pana, uwalanymi tytoniem. Z psa żaden drobny chihuahua, oglądający świat oczami żaby. To czarny, włochaty kundel, który z braku urody nie ma co liczyć na nowy dom. Nie nakarmi go też pod wpływem chwili żaden spragniony egzotyki turysta. Po pierwsze dlatego, że w mieście nie ma żadnych turystów. Po drugie nie jest tym spełniającym oczekiwania, cholernym chihuahua z przewodników! Kraina turystów zaczyna się zaraz Za Miastem.

Składające się z fawel*** miasto sąsiaduje z państwem o rzekach płynących mlekiem i miodem. Ich nigdy nie skuwa lód. Nie dopada nędza.

* *Maquiladora* (hiszp.) – montownia, zakład czy fabryka, w której składa się rozmaite urządzenia. (O ile nie podano inaczej, przypisy pochodzą od redakcji).

** Faros – meksykańska marka papierosów produkowana z meksykańskiej mieszanki, palona w Meksyku, Hondurasie i niektórych stanach USA.

*** Fawele (portug. *favela*) – rozległe dzielnice nędzy, powstające wokół miast i zamieszkiwane przez najbiedniejszą ludność, budującą swe domy z dykty, tektury, blachy, desek itp.; szacuje się, że żyje w nich ok. 75 proc. ludności Ameryki Łacińskiej. Sam termin pochodzi od nazwy rośliny porastającej wzgórza otaczające Rio de Janeiro, gdzie w 1890 r. osiedlili się wyzwoleni niewolnicy. Pierwsza fawela *sensu stricto* została założona w 1897 r. przez 2 tys. żołnierzy-weteranów pozostawionych bez środków do życia.

Z wysokości gór, które leżą po przeciwnej stronie pustyni, widać wieżowce bogatej metropolii. Wielu wędrowców przybyło tu dla tej panoramy. Wielu, przynajmniej na początku, liczyło na coś więcej, ale koniec końców musiało się obejść smakiem. Gdyby słuchali wiatru, wiedzieliby, że na miasto rzucono klątwę, wydostać się z niego można jedynie nogami do przodu. Ludzie nigdy nie chcą umierać.

Mieszkańcy budują domy z fabrycznych palet, karoserii starych samochodów. Kartonu oraz szmat. Nieliczni, kiedy już się wzbogacą składając tranzystory, wzmacniają papierowe mury od wewnątrz małymi cegłami, wypalnymi na słońcu. Wodę trzymają w żółtych beczkach po odpadach – bardziej zależy im na tym, by podciągnąć prąd i wywiesić telewizyjny talerz niż wymóc na oficjelach miasta, by do fawel doprowadzono wodociągi. Nie można mieć im tego za złe – telenowele to protezy dla marzeń. Raz na tydzień przyjeżdża cysterna z wodą pitną. Leżąca najbliżej rzeka to Río Bravo.

A wiatr biegnie dalej. Nie można powiedzieć, że to mu odpowiada, ale nie potrafi nic innego. To, że opowiada historie, należy uznać za fanabериę.

Nad miastem powietrze drży z upału. Ludzie pochowali się w rozchwyanych domkach w poszukiwaniu cienia. Jednak w izbach nie jest o wiele lepiej niż na zewnątrz. Papa ściąga promienie słoneczne, w domach, które okrywa, panuje nieznosna duchota. Krople gorącej smoły odrywają się od dachów jak sopele, po czym spadają na ziemię niczym czarny deszcz. Albo padają na brzuszek Isabellity, tworząc jakby drugi pępek – naga dziewczynka pochyla głowę, zdezorientowana przygląda się swojemu pulchnemu ciałku, z którego wszystko może jeszcze wyniknąć. Oto postać, która jest dopiero zapowiedzią: duża głowa, wąskie ramiona, płaska klatka piersiowa, gładka pupa z reklamy oliwki Johnson and Johnson. Śniada skóra bez zbędnego owłosienia, jednej blizny.

Isabellita kontempluje kroplę smoły na brzuszku, kiedy druga spada jej we włosy. Blond włosy oraz prosty nos to ślad po miłosnym związku jej praprababki z hiszpańskim hidalgo. Kto wie, może jest w prostej linii potomkinią Hernana Cortesa i azteckiej księżniczki Malinche? Wszystko może się zdarzyć.

Isabellita zastanawia się, czy może powinna się rozplakać? W końcu smoła klejąca włosy jest czymś ohydny, a nie zaszkodziłoby łzami przepłukać oczy z piasku. Z drugiej strony wrzask obudziłby babcię (nastoletnia mama pracuje w maquiladorze), a ta sprawiłaby jej baty, bo dziewczynce nie wolno samej opuszczać domu. Z powrotem zapędziłaby do pokoju, w którym pachnie płynem do trwałej ondulacji oraz seksualną frustracją trzech samotnych Gracji. Nie, Isabellita się nie rozpłacz.

Wiatr porzucił już psa, biegnie do następnej przecznicy. Zwalnia, kiedy widzi nagą dziewczynkę. Och, szczęściarz! Nie ma lepszego słuchacza niż dziecko. Uderza, niosąc w ustach piach, ziarna kukurydzy, proch z wysuszonego guana.

– Isabellita!

Mała wrzeszczy, jakby obdzierano ją ze skóry, zdecydowanie wbrew wcześniejszym intencjom. Babcia, gruba galaretowatym tłuszczem, jakim czasem obkleja biedaków nędza, wybudzona wyskoczyła z domu. Gromi wnuczkę ciężką ręką, a każdy cios jest uderzeniem pełnym miłości... Ledwie miesiąc temu porwano w okolicy ośmioletnią dziewczynkę. Stara kobieta zna babcię tamtej, dońę Elenę, która od czasu zdarzenia jednocześnie spuchła i zdziwaczała. Krótkie włosy leżą jej płasko przy twarzy, trwa w łóżku i nic jej nie interesuje. Wkrótce umrze, bo fawela na pustyni nie znosi bezruchu. Na melancholię można pozwolić sobie w klimatyzowanym mieszkaniu, zażywając kąpeli w jacuzzi, w którym woda przypomina o mokrym łonie matki. Mówi o wiecznej reprodukcji, a nie jak wiatr – o śmierci.

Babcia ciągnie usmoloną wnuczkę do żółtej beczki po odpadach. Pomimo dykty przytrzymywanej kamieniem w matowej brei unosi się armia potopionych owadów. Kobieta zanurza w cieczy głowę dziewczynki i szoruje. Isabellita drze się coraz głośniej. Jest taka nieszczęśliwa. To za duża rozpacz, by można było się nią z kimkolwiek podzielić. Co mogła powiedzieć: że wiatr zaśpiewał jej starą aztecką piosenkę? A co gorsza: że ją zrozumiała?

*Ogarnął mnie smutek
i pobladłem śmiertelnie,
gdyż z zaświatów, dokąd dążymy
niestety, nie ma już powrotu.
Nikt stamtąd nie powraca.
Raz na zawsze udajemy się
do świata zmarłych, tam – dokąd dążymy.*

Nezahualcóyotl*

* Nezahualcóyotl, dosł. „Nienasycony Kojot” (1402–1472) – władca miasta-państwa Texcoco, poeta i myśliciel; współtwórca imperium azteckiego. Wiersz przełożyła z hiszpańskiego Maria Frankowska.